

## **Rozdział 7 Przyjazd do Chin**

Po wzruszeniach i niebezpieczeństwach pierwszych dni, Hudson z wdzięcznością powitał wejście okrętu w strefę cieplejszego klimatu, gdzie i wody były spokojniejsze, gdzie jego bagaż, cały przemoczony wodą morską, nareszcie wyschnął. Przez całe tygodnie, które zmieniły się na miesiące "Dumfries" żeglował po oceanach - najpierw po Atlantyku, zdążając na południe wzdłuż zachodniego brzegu Afryki, potem poprzez cały Ocean Indyjski, mijając Australię w odległości 120 mil i poprzez cieśniny leżące pomiędzy południowo-azjatyckimi wyspami - kierując się ku Pacyfikowi. Pomiedzy tymi wyspami Hudson dowiedział się jeszcze i o ogromnym niebezpieczeństwie grożącym okrętowi i jego załodze ze strony zupełnej ciszy na morzu, która mogła być dla żeglarzy równie niebezpieczna jak i gnanie okrętu przez straszliwą wichurę!

Całymi dniami żagle okrętu wisały z masztów bezwładnie, bez najmniejszego wietrzyku, który by je poruszył. Kilka razy się zdarzyło, że statek ich w przeciągu 24 godzin zrobił zaledwie 7 mil i dlatego pomimo ciekawej panoramy pięknych palm, które można było widzieć na odległych brzegach wysp, albo przyglądania się tropikalnym rybom, przemykającym przez wody - podróż zaczynała być męcząca i nudna. Już minęło pięć miesięcy od dnia, w którym wszedł na pokład w Liverpool, tak że Hudson już na pamięć znał każdą linę i każdą deskę na podkładzie "Dumfries". Ucieszyłyby się z całego serca, gdyby mógł postawić ów nogę na lądzie stałym!

Pewnej niedzieli rano, podczas nabożeństwa, które prowadził na pokładzie, zauważył, że jego dobry przyjaciel - kapitan okrętu miał jakiś zatroskany wyraz twarzy. Nie uważał tak pilnie jak zwykle w czasie kazania i raz po raz podchodzi do burty, spoglądając na ciche wody. Nie było najmniejszego nawet wiatereku. Gdy po chwili, po zakończeniu nabożeństwa, załoga się rozeszła, a Hudson pozostał z kapitanem sam na sam, dowiedział się wreszcie, co było powodem jego niepokoju: otóż jakiś silny prąd unosił okręt w kierunku podwodnych skał, a ponieważ nie było żadnego wiatru, okręt nie miał żadnej mocy, aby się oprzeć sile tego prądu.

"Jesteśmy już tak blisko tych skał, że wątpię, czy popołudnie przejdzie bezpiecznie", powiedział mu kapitan. O zachodzie słońca przeważnie zaczynał dąć lekki wietrzyk, ale do tej pory okręt ich pograży się zapewne, zupełnie bezsilny, aby się oprzeć straszemu wirowi i nadzieje się na ostre podwodne rafy, ukryte przed oczami obserwatora. Jedyną nadzieją było opuszczenie na wodę jednej z łodzi, umocowanie okrętu na linie i próba wydobywania go siłą wiosła z niebezpieczeństwa. Ale wszelkie wysiłki załogi, która wiosłowała ogromnie ofiarnie, z całych sił, okazały się próżne. Prąd był tak silny, że nie udało im się nawet choćby odrobinę odwrócić dzioba okrętu.

Kapitan stał obok Hudsona w milczeniu, po czym rzekł - starając się nie okazywać w głosie wzruszenia: "Zrobiliśmy wszystko, co było w naszej mocy. Teraz nam pozostało tylko oczekiwać..."

Naraz Hudsonowi przyszła do głowy myśl: gdyby tylko ten wietrzyk, który zazwyczaj zaczyna dmuchać wieczorem, zaczął dmuchać teraz - to byliby ocaleni. A jakkolwiek nie mieli żadnej mocy, aby rozkazywać wicherom i wietrzykom, to jednak Bóg miał tę moc! On mógłby sprawić, aby wiaterek ten zaczął dąć wcześniej. Dlatego też powiedział spokojnym tonem:

"Jednej rzeczy jeszcze nie zrobiliśmy".

A cóż to jest takiego?" zapytał natychmiast kapitan. Jeszcze się nie modlili. To była jedyna rzecz, której jeszcze nie zrobili. Kapitan zamilkł, ale Hudson ciągnął dalej. Na pokładzie było ich zaledwie cztery, czy pięć takich osób, które wierzyły, że Bóg wysłuchuje modlitwę. "Chodźmy więc wszyscy - każdy do swojej kabiny, uzgodniwszy, że będziemy się modlić o to, aby Bóg posłał wietrzyk teraz. Dla Niego jest równie łatwą rzeczą posłać wiaterek teraz, jak później wieczorem..."

Propozycja ta nieco zaskoczyła kapitana, ale po chwili wahania zgodził się na nią. "Dobrze", powiedział, "zrobimy tak". Po tych słowach natychmiast udał się do swej kabiny na modlitwę, z tym, że Hudson miał odszukać jego kolegę; zastępcę komendanta statku oraz cieślę, Szweda z pochodzenia i zaproponował by uczynili to samo. O nich to właśnie 'było wiadomym, 'że pomiędzy wszystkimi członkami załogi wyróżniali się tym, iż byli ludźmi bojącymi się Boga. Niechaj zatem uczynią tę jedyną rzecz, !która pozostała do zrobienia, aby ocalić okręt.

Już po krótkiej chwili modlitwy w swojej kabine, Hudson poczuł się tak silnie przekonany, że Bóg pošle wiaterek, że wstawszy z kolan, wyszedł na pokład i zaproponował pierwszemu oficerowi, aby opuścił róg głównego żagla. Na to ten odparł gniewnie:

"A cóż to pomoże?" I nic dziwnego Przecież miał wszelkie powody po temu, aby uważać, że on lepiej wie, kiedy jest pora na opuszczenie żagli, aniżeli stojący właśnie przed nim młody szczur lądowy"

"Poprosiliśmy Boga, by zesłał wiatr - i wiatr ten zacznie dąć natychmiast", wyjaśnił Hudson.

Na to pierwszy oficer głośno chrząknął i rzekł: "Wolałbym raczej zobaczyć wiatr, aniżeli tylko o nim słyszeć! Ale instynktownie podniósł oczy w kierunku żagli, a Hudson popatrzył tam w ślad za nim i ujrzał, że róg najwyższego żagla zaczął powiewać na wietrze!

"Popatrz pan na najwyższy żagiel!" zawołał w wielkim podnieceniu. "Wiatr już zaczyna dąć!"

"To tylko jakiś jeden podmuch chyba", odparł na to oficer nieufnie. Niemniej natychmiast wydał odpowiedni rozkaz i nie trwało to więcej, jak jedną minutę, a już marynarze zaczęli boso biec po pokładzie i wspinać się na maszty i reje okrętu. Na dźwięk nagłego ożywienia i jakichś poczynai, wyszedł z kabiny i kapitan, aby zobaczyć, co się dzieje - a oto oczom jego przedstawił się widok żagli, które zaczęły wydymać się pad naporem wiatru, podczas gdy statek zaczął powoli zmieniać kierunek i oddalać się od niebezpiecznych raf i to z szybkością sześciu czy siedmiu węzłów! A na pokładzie - młody Hudson Taylor. W oczach jego widać można było bezmierne szczęście, a serce przepełnione było wdzięcznością w stosunku do jego Boga, który wysłuchiwał - a i tym razem wysłuchał modlitwę.

W niespełna miesiąc później "Dumfries" wreszcie zawinął do przystani jednej z wysp, aby tam zaczekać na przybycie pilota, który by go wprowadził do samego Szanghaju -poprzez szerokie ujście rzeki. Ciepłe klimaty i błękitne wody leżały już za nimi. Zamiast nich Hudson patrzył teraz, oparty o burtę, na gęste mgły i mętne, ponuro wyglądające wody potężnej rzeki Yang Tse, która toruje sobie już począwszy od tajemniczego płaskowyżu Tybetu w nieodparty sposób drogę poprzez żyzne, gęsto zaludnione niziny Chin, aby wreszcie mieszać swe wody z burzliwym Morzem Chińskim.

Hudson wyteżał wzrok, pragnąc dojrzeć choć zarys lądu tego kraju, do którego przybył. Ale mgła była zbyt gęsta, aby mógł w tej chwili dojrzeć długi nisko położony brzeg. Natomiast zobaczył, przechylając się nad burtą niewyraźne zarysy innych statków - i to bardzo ciekawych, z masztów ich zwisał tylko jeden olbrzymi żagiel, a kadłuby ich były przyozdobione rzeźbami i dziwnymi malowidłami. Nie miał co do tego

żadnej wątpliwości: to były z pewnością owe chińskie dżonki, które widział już w ilustrowanej książce o Chinach, którą tak często studiował w swoim drogim domu rodzinnym w Barnsley! Teraz je mógł, oglądać na własne oczy - a właśnie jedna z nich podpłynęła dostatecznie blisko, aby móc dojrzeć członków jej załogi. I oto Hudson zobaczył ludzi w luźnych, niebieskich, samodziałowych bluzkach i spodniach; kolor ich skóry przypominał kolor starych pergaminów, oczy ich były ciemne, tajemnicze, a długie, cienkie włosy splecione w warkocz - to byli Chińczycy! Po raz pierwszy Hudson spoglądał w twarz przedstawicieli tego wielkiego narodu, do którego go posłał Bóg i pomiędzy którymi miał spędzić swoje życie. Nie mógł zrozumieć ani słowa z tego co mówili, a ich twarze w jakiś dziwny sposób pozbawione wyrazu, nie zdradzały zupełnie ich uczuć. Zaczął się zastanawiać, jak też zdoła się kiedyś nauczyć ich języka? A gdzie się uda i gdzie zamieszka, gdy wreszcie wyląduje na brzegu tego nieznanego kraju? Przyszło mu na myśl, że będzie miał poważną trudność w nabyciu czegoś do jedzenia, skoro nie miał pojęcia, jak o to zapytać i poprosić! Chodził tam i z powrotem po pokładzie, otulając się w swoją najcieplejszą odzież, jaką tylko miał, a po głowie ustawicznie chodziły mu takie właśnie myśli, aż wreszcie marzenia jego zastały przerwane nagłym poruszeniem, które miało miejsce na statku. "Pilot! Pilot wchodzi na pokład!" Co za podniecenie! Po raz pierwszy od pięciu miesięcy miał się oto zjawić pomiędzy nimi ktoś, kto by mógł im powiedzieć coś na temat tego, co się działo na świecie! Po raz pierwszy od pięciu i pół miesięcy na mostek wchodził jeszcze jakiś inny Anglik! Wydawało się, że kto żyw, wyszedł na pokład na jego spotkanie. A miał rzeczywiście dla nich wiele - i to poważnych wiadomości, w czasie tych pięciu i pół miesięcy, gdy byli zupełnie odcięci od zewnętrznego świata, żeglując poprzez oceany, w Europie powstały nieporozumienia, które wreszcie doprowadziły do wybuchu wojny. A i w samych Chinach, do których właśnie przybyli, też w tej chwili wrzała wojna - a mianowicie wojna domowa pomiędzy siłami rebelianckimi, które nacierały od południa, a wojskami imperialnymi, które atakowały od północy. A co na Hudsonie zrobiło największe wrażenie, to wiadomość, że właśnie samo miasto Szanghaj było w tej chwili głównym ośrodkiem zmagających wojennych. Miasto znajdowało się w rękach rebeliantów, podczas gdy pięćdziesięcioletnia armia imperialna je oblegała. Żywność kosztowała bardzo dużo, bo nastąpiła drożyzna, cechująca okresy głodu, a przy tym wymiana pieniędzy stawała się coraz niekorzystniejsza, gdyż za angielskiego funta można było obecnie nabyć zaledwie trzy chińskie dolary, podczas gdy dawniej można ich było za jednego funta otrzymać pięć!

Nic więc dziwnego, że serce jego napępniały i uczucia radości, ale też i niepokoju, gdy następnego dnia stanął na lądzie stałym, idąc w ślad za swoim przewodnikiem poprzez tłum rozkrzyczanych, wrzaskliwych chińskich tragarzy, by się udać do brytyjskiego konsulatu. Nareszcie był w Chinach! To było czymś rzeczywiście fascynującym. Ale stawiając z trudem kroki w gęstym błocie, nie mógł nie zdać sobie sprawy również i z tego, że stały przed nim bardzo poważne trudności. Nikt go nie oczekiwał, nie miał w całym mieście Szanghaj ani jednego przyjaciela, a miał też bardzo mało pieniędzy. Miał co prawda trzy listy polecające do osób mieszkających w Szanghaju, które miał zamiar przedstawić adresatom możliwie jak najprędzej - ale poza tym nie miał pojęcia, co mu wypada zrobić, teraz w momencie, kiedy nareszcie przybył na miejsce. I naraz wszystkie niebezpieczeństwa morskiej podróży zaczęły się mu wydawać dziwnie błahe w porównaniu z uczuciem ogromnego osamotnienia, które teraz ogarnęło jego serce. Jego przygnębienie jeszcze bardziej się spotęgowało gdy dotarł, do konsulatu i tam się zaczął dowiadywać o ludzi, do których otrzymał swoje listy polecające.

Pierwszy z adresatów, jak się dowiedział, umarł około miesiąca temu na malarię. Drugi już powrócił do Ameryki. Tylko o trzecim było wiadomym, że jeszcze mieszka w Szanghaju - a właśnie list do tego człowieka został Hudsonowi wręczony przez osobę jemu prawie nieznaną!... Dlatego też z ciężkim sercem udał się do ogrodzonego ogrodu, w którym stał budynek Londyńskiego Towarzystwa Misyjnego.

Aby tam dotrzeć, musiał opuścić europejską dzielnicę miasta i iść piechotą przeszło milę ulicami, które

stawały się coraz węższe w miarę gdy się oddalał od dzielnicy, z której wyszedł. Teraz wszędzie widział zaokrąglone dachy, balkony, które zwisały wprost nad ulicą, maleńkie, ciemne sklepy z ozdobnymi, kołyszącymi się na wietrze szyldami - a wszystko to wydawało się ogromnie dziwne i obce idącemu naprzód młodzieńcowi z dalekiego angielskiego hrabstwa Yorshire. Cały czas otaczały go tłumy tajemniczych ciemnookich Chińczyków, którzy nigdy się nie uśmiechali. Często go też mijali tragarze, niosący na drągu opierającym się o ich ramiona po dwa kosze, kołyszące się po jednej i drugiej stronie. Jakąś melodią dawali ostrzeżenia przechodniom, którzy im ustępowali z drogi, gdy ci przeciskali się ze swoimi ciężarami przez tłum. W szeroko otwartych od ulicy sklepach, a także w restauracjach, których było wiele wzdłuż wąskich uliczek, widać było dużo siedzących mężczyzn - a każdy z nich nosił warkocz. Było tam też sporo sprzedawców gorących, smacznie pachnących dań, którzy stali przy małych swoich przenośnych straganach, gotowi usłużyć posiłkiem na każde skinienie. Od czasu do czasu tłum się rozstępował, aby zrobić miejsce na lektkę niesioną przez biegnących tragarzy, ale gdy tylko ci przebiegli, natychmiast rozpełzał z powrotem na całą szerokość ulicy. Niebawem Hudson miał przywyknąć do tego rodzaju widoków i miały się one dlań stać równie dobrze znane, jak widok Placu Targowego w Barnsley; ale w tym pierwszym dniu jego pobytu w Chinach wszystko wydawało się być tylko jakimś fantastycznym snem! Dlatego w sercu jego powstało uczucie ulgi, zmieszane z odrobiną strachu, gdy nareszcie dotarł do dużej, podwójnej bramy terenu Misji.

Odźwierny - Chińczyk - trzymając ręce w rękawach, uklonił się młodemu przybyszowi z Zachodu.

"Kogo pan sobie życzy widzieć?"

Hudson pokazał swój list polecający i powiedział, że pragnie zobaczyć się z Doktorem Medhumstem.

"Doktora nie ma w domu, doktor wyjechał". Odźwierny skłonił głowę, wyrażając tym, że mu przykro. Był pełen szacunku - a jednak jak gdyby daleki myślami.

"Gdzie pojechał?" pytał dalej Hudson Ale najwidoczniej odźwierny już wyczerpał zapas znajomych sobie słów angielskich i po prostu już go więcej nie rozumiał.

To był dopiero okropny kłopot! Już zapadał wieczór i jeszcze chwila, a zrobi się ciemno. Całkiem sam w nieznanym mieście i nie znając języka chińskiego zupełnie - co miał począć? Raz jeszcze próbował porozumieć się z odźwiernym, lecz bezskutecznie i już był niemal zdecydowany zrezygnować, gdy nagle ku swej wielkiej uldze zauważył jakiegoś młodego człowieka, który najwyraźniej był Europejczykiem; właśnie przechodził przez teren znajdujący się przed budynkami misji. Hudson bezzwłocznie mu się przedstawił.

"Nazywam się Edkinis", rzekł ów młody człowiek uprzejmie. "Nie ma tutaj wprawdzie doktora Medhursta, ale jest jego kolega i jestem pewny, że będzie mu bardzo miło, jeśli będzie mógł panu pomóc. Proszę wejść i usiąść, a ja pójdę po niego..."

Tej nocy, gdy Hudson wreszcie położył się spać, mógł wygodnie się wyciągnąć na czystym, ładnie zaściętym łóżku! Już nie był to więcej hamak okrętowy na maleńkim "Dumfries", ani też łóżko w jakiejś chińskiej oberży, pomiędzy ludźmi, których języka nie znał i których nie był w stanie zrozumieć!... W tej chwili był bowiem gościem Londyńskiego Towarzystwa Misyjnego, które mu dało do dyspozycji w swym gmachu duży, pełen świeżego powietrza pokój.